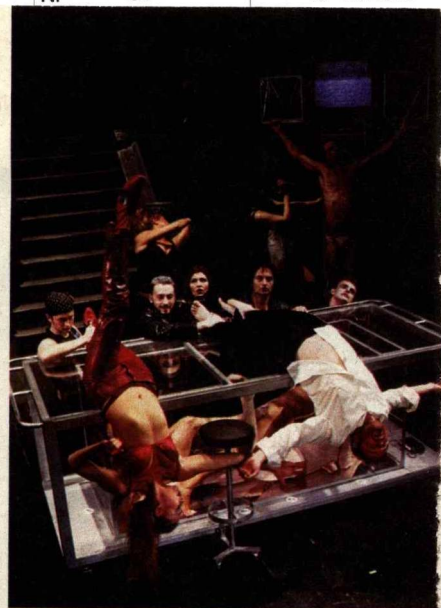




IDŹCIE do doktora

Na piątym albo szóstym z rzędu przedstawieniu „Nie-Boskiej komedii” Krzysztofa Nazara omal nie dałem w ucho dokazującemu czternastolatkowi ze szkolnej wycieczki, która w liczbie trzystu chłopów wzięła w posiadanie widownię Starego Teatru. A nie dałem w ucho czternastolatkowi przynajmniej z dwóch powodów.

Po pierwsze, mógł skurczybyk oddać: w końcu pasją czternastolatków bywa od czasu do czasu regularne poniżanie trzydziestoletnich krytyków teatralnych.

Po drugie, nie dałem mu w ucho z takiego powodu mianowicie, że czternastolatek miał w gruncie rzeczy rację. Miał rację, że rozrabiał, hałasował i słownie artystów znieważał. Przedstawienie było w istocie haniebne.

Intelektualna i artystyczna mizeria najnowszej produkcji Starego Teatru wynika z faktu, że tekst hrabiego Krasieńskiego ani reżysera, ani aktorów zupełnie nie obchodzi. Wystawiają go jak teatralną ramotę, która potrzebuje zabiegów reanimacyjnych, żeby w ogóle mogła jeszcze dychać.

Skutek tej reanimacji jest taki, że skoro akcja dramatu dzieje się w teatralnej graniarni, a rewolucja trwa od początku przedstawienia, na scenie nie ma świata i wartości, których mógłby bronić Hrabia Henryk (Roman Gancarczyk). Obóz rewolucji to mężczyźni w strojach z porno shopu, nagie kobiety zamknięte w akwarium, Chrystus w kąpielówkach rozpięty na krzyżu z migającym telewizorem. Z kolei Pankracy (Krzysztof Globisz) i Leonard (Adam Nawojczyk) są parą całujących się w finale homoseksualistów.

Uwspółcześnianie Krasieńskiego u Nazara zmienia się w idiotyczną zabawę w gadżety. Tylko że nawet najgłupszy pomysł musi mieć logiczne rozwinięcie. Skoro rewolucjoniści to czytelnicy pism „Cats” i „Hustler”, to w takim razie obóz Świętej Trójcy powinien w przedstawieniu przypominać środowiska oazowe, nosić koloratki i wyglądać równie bogobojnie jak parafia księdza Jankowskiego. Tymczasem Nazaż każe arystokratom przebrać się w szare wojskowe płaszcze. Ratuje się efekciarstwem: kaskader spada z wysokości na stertę tektury, kołyska z Orciem jeździ po rozpiętej na scenie linie. Są to detale i poszczerbności, które znajdują swoich amatorów. Na przykład czternastolatkowi na fotelu obok podobała się czer-

wona bielizna Soni Bohosiewicz i erotyczne stękanie Sandry Korzeniak wiszącej na rusztowaniu. Nawet stękanie nie zmieni jednak tego, że aktorzy nie rozumieją, w czym grają. Bo inaczej, skąd wzięłyby się fałsz niemal każdej aktorskiej kwestii, mechaniczny balet sytuacji, sceniczne przepychanki tuszujące brak psychologicznych motywacji bohaterów.

Nie ulega wątpliwości, że Stary Teatr zabrnął w ślepią uliczkę. Po scenie błąka się oślepiła od dawnej chwały grupka aktorów prowincjonalnych. Jest jeszcze na szczęście w tej instytucji ostatni człowiek, który może nieszczęściu zapobiec. Człowiek ów nazywa się Krystian Lupa. Jeżeli cokolwiek łączy go jeszcze z tą sceną, powinien rzucić w diabły reżyserowanie w Warszawie i Wrocławiu i na serio wziąć się za uzdrowienie Starego Teatru.

Nie od dziś wiadomo, że doktor Lupa leczy z aktorskich sztaamp, zdejmując ze swoich podopiecznych pozostałe po pracy z innymi twórcami formalne gorsety, łatwizny emocji i efektów. Uczy myśleć i czuć. Zespół Starego Teatru, wiedząc o planowanej przez Lupę na maj lub czerwiec inscenizacji „Mistrza i Małgorzaty”, powinien ustawić się do niego w kolejce z prośbą o rolę.

W tej kolejce stanęlibyśmy także obaj z owym czternastolatkiem. Nie wiem doprawdy, z czego powinien wyleczyć go Lupa, bo chłopię wyglądało zdrowo jak byk, ja w każdym razie poproszę o wyprowadzenie mnie z chronicznej depresji, w jaką wpędza mnie moja nadal ulubiona krakowska scena.

ŁUKASZ DREWNIAK



Stary Teatr w Krakowie, „Nie-Boska Komedii” Zygmunta Krasieńskiego. Adaptacja i reżyseria: Krzysztof Nazaż, kostiumy: Zofia de Ines, dekoracje: Andrzej Przedworski, muzyka: Zygmunt Konieczny. Premiera: 5 listopada 2000 roku.